

Legenda o powstaniu Kielc

Na prastarych, łagodnych szczytach gór, wśród szumiących świętokrzyskich lasów już od niemal dziesięciu stuleci leżą Kielce. Trudno dziś dociec, kto wśród pradawnej puszczy założył niewielką osadę, której losy toczyły się nieśpiesznie wokół modrzewiowego kościółka świętego Wojciecha. Tajemnicza jest też sama nazwa „Kielce”. Jednym kojarzy się z „kleceniem” - czyli pracą jej dawnych mieszkańców; innym z nazwiskiem rodu Kielczów. Jeszcze inni widzą w niej podobieństwo do słowa „kiel”, oznaczającego ostre skały na okolicznych szczytach lub zębiska dzikiego zwierza.

Z pomocą przyjdzie nam legenda. Poznamy ją, wędrując kielecką starówką ku strzelającemu w niebo barokowymi wieżami pałacowi biskupiemu. Tu, przy niewielkim placu, zwanym dziś placem Artystów, stoi jasna figura dzika. Zwierzę spogląda na miasto z wysokiego cokołu, wokół którego na odlanych w brązie tablicach uwieczniono opowieść o powstaniu miasta. A zaczyna się ona od ojcowskiej troski o losy syna...

Król Polski, Bolesław Śmiały, poróżniony z krakowskim biskupem Stanisławem, w obawie o bezpieczeństwo syna swego Mieszka, wysłał go pod ochroną drużyny rycerzy w leśne ostępy...

Trudne to były czasy wojen i niepewności, gdy symbole władzy przechodziły z rąk do rąk, zdrada i podstęp czały się w barwnym królewskim orszaku, a trucizna sączyła się jadem z kielichów.

- *W lisiej norze znajdziesz mniej zła i spisku niż w tych parszywych komnatach!* - grzmiał Bolesław. - *Lepiej ci będzie, synu, wśród poświstów puszczy niż wśród kłamiwych spojrzeń mych dworzan! Jutro wyruszysz w drogę. Zamieszkasz wśród dzikiego zwierzca i sędziwych dębów, a twymi kompanami będą nie białogłowy, lecz moja wierna drużyna. Zmężniejesz, a gdy twój czas nadejdzie, powrócisz, by nieść chwałę Piastom. Wystrzegaj się jednak zbójów, co kryją się na leśnych duktach! Wiedz, że to lud prosty, dla którego moneta i złoto cenniejsze są niż życie* – przestrzegał król.

Orszak wyruszył następnego dnia, nim pierwsze promienie słońca zdążyły rzucić blask pod końskie kopyta. Mieszko z przestrogą ojca w sercu i modlitwą na ustach opuścił gniazdo rodzinne, by skryć się przed nieznanym z imienia wrogiem.

Dni i noce w puszczy są jednakie. Promienie słońca przecinają poranne mgły, by barwnym zachodem złożyć hołd ziemi. Towarzyszom królewicza niemiły był jednostajny czas wygnania, bez wojny, pożogi i wroga. Długie wieczory przy budzącym otuchę ogniu spędzali na opowieściach o przebytych bojach i trudach wielu lat służby u boku wymagającego pana.

Mieszko czuł, jak w jego sercu kiełkuje zazdrość. - *Jakież to historie może opowiedzieć swym towarzyszom? Lata lekcji władania mieczem u największych mistrzów niczym są wobec jednej ich potyczki. Wzrok strudzony od ksiąg w skrytorium to nic wobec rąk strudzonych od miecza w potyczce na śmierć życie!* - królewicz patrzył w żar dogasającego ognia. Złożył przysięgę, że nie przyniesie wstydu Piastom.

Jutro łowy. Pokaże, jakie talenty posiada. Samotnie rzuci się w pogoń i pokona dzikiego zwierza! Gdzieś w oddali czekały jeszcze zajadle myśliwskie psy. Ktoś krzyknął. Wiatr niósł głosy i poruszał liśćmi prastarych buków. Mieszko czuł, że robi się coraz bardziej senny... Gdzieś tam, w głuszy, zostali jego towarzysze.

- Dlaczego, dlaczego rzucił się samotnie w pogoń za dzikiem? Dlaczego nie słuchał, dlaczego nie czekał na resztę drużyny? Wysokie jodły ciemniały w zachodzącym słońcu. Oto on, królewski syn. W sercu puszczy wart tyle, co zbój, co sługa, co niewolnik. Samotny, zdany na siebie. Bez strawy i wody. Za to z lękiem w sercu i trwogą o jutro - znużony wyjął nogi ze strzemion. Postawił stopy na miękkim leśnym kobiercu. Pod rozłożystym dębem znalazł kępkę mchu. - Oto łożo godne następcy tronu - pomyślał gorzko. Ledwo przyłożył głowę do leśnego posłania, zapadł w głęboki sen. Nie przyniósł on jednak ukojenia.

Prawda to - czy nocne urojenie? Oto słysząc trzask gałęzi łamanej pod ciężką stopą. Kroki. Ciche głosy. Mieszko zrywa się na równe nogi. Dobywa miecza - akurat wtedy, gdy atakuje go pierwszy ze zbójów. Syn króla odpięra atak za atakiem. Walczy jak godny potomek Piastów. Przerażeni zbójcy uciekają.

Zostaje tylko jeden, który chcąc ocalić życie, poddaje się przyszłemu władcy. Mieszko w triumfalnym geście przykłada miecz do jego piersi. Wrywa mu zza pasa to, co teraz najcenniejsze - butlę z wodą. Spragniony wypija wszystko, nie pozostawiając jeńcowi ani kropelki. Wtem jego usta razi ogień gorętszy niż czeluści piekieł. - *Trucizna! Zdrada!* - woła przerażony. W głowie dźwięczy mu głos ojca: - *Wiedz, że to lud prosty, dla którego moneta i złoto cenniejsze są niż życie.*

- *Zawiodłem, ojcze!* - myśli i szuka ratunku, który znikąd nie nadchodzi. Próbuje wołać na pomoc, jednak jego głos więźnie w palonym żarem gardle. Wytęża wzrok w poszukiwaniu choćby małego strumyka. Prastara puszcza nie ma jednak litości. Znikąd pomocy! Wycieńczony królewicz pada na kolana. Nagle ciemność przecina bijący z dali blask. Oto przed królewiczem staje jasna postać. To święty Wojciech! Uśmiecha się dobrotliwie. Jasność przegania mrok. Zbój ucieka przerażony, a święty kreśli na ziemi pastorałem krętą linię, z której tryska ożywczy strumień. Mieszko łapczywie chwyta każdą życiodajną kroplę. Unosi wzrok. Postać Wojciecha rozmywa się w porannej mgle...

- *Sen to – czy jawa?* - Mieszko podniósł się z leśnego posłania. Wokół budził się nowy dzień. Promienie słońca tańczyły z głosem ptaków. - *Sen to – czy jawa?* Oto przed nim strumień, którego wczoraj tak bardzo pragnął, a którego przecież nie było. - *Sen to – czy jawa?* Młodzieniec skosztował zimnej ożywczej wody. Przemył zamglone oczy. *Sen to – czy jawa?* Wśród mchu dostrzega jaśniejący kształt. Oto przed nim leżą kły dzika, olbrzymiego odyńca - dar świętokrzyskiej puszczy dla piastowskiego królewicza. Poranne, drażące powietrze przynosi z oddali nawoływanie towarzyszy.

- *To jawa!* - Mieszko chwyta za róg, którym przywołuje drużynę. Po chwili królewicz dostrzega mężnych wojów. Cudownie odnaleziony, rzuca się w objęcia towarzyszy. Pada na kolana. Znosi modlitwę do swego zbawcy, świętego Wojciecha. Obiecuje mu, że ubłaga ojca, by właśnie w tym miejscu postawił skromną modrzewiową świątynię na chwałę świętego i pamiątkę tych przedziwnych zdarzeń. Wokół powstanie zaś osada, na cześć kłów dzika nazwana Kielcami. A cudowny potok, nad którym powstaną pierwsze domy, nazwie Silnicą

- by jego woda zawsze dodawała mieszkańcom sił, tak jak jemu pozwoliła wrócić do życia.

W każdej legendzie jest ziarno prawdy... Dzisiaj turyści i mieszkańcy, spacerujący zabytkowym śródmieściem Kielc każdego dnia przechodzą obok pomnika odyńca, na pamiątkę opowieści o początkach miasta nazywanego pieszczotliwie „Kielkiem”. Nad niewielką rzeczką Silnicą kryją się kameralne kawiarenki i restauracje – znakomite miejsca, by odpocząć i nabrać sił przed zwiedzaniem miasta. Zaskakuje ono bogactwem przyrody, która rządzi tu niepodzielnie w pięciu rezerwach przyrody, i mocą historii wyrażonej w pięknie zabytkowej architektury biskupiego pałacu.

O Emeryku i świętym jeleniu

Łysa Góra, Łysiec, Święty Krzyż... jedna góra - trzy nazwy. Jedna góra - dziesiątki opowieści i legend z nią związanych. Nie ma drugiego miejsca, które już od najdawniejszych czasów tak rozpałoby ludzką wyobraźnię. Może to przez gołoborza - rumowiska skalne, których próżno szukać w innych górach? Może przez najstarsze polskie sanktuarium, którego początki toną w mrokach dziejów? A może przez prastarą puszcę jodłową, która od wieków porasta szczyty Łysogór? Pewne jest jedno - szczyt zwany Świętym Krzyżem dał nazwę całemu łańcuchowi górskiemu, a także i regionowi między Wisłą a Pilicą.

Gwiazdy srebrzyły się już na niebie, gdy węgierski orszak zbliżał się nieśpiesznie do skromnego, myśliwskiego schronienia. Już na skraju puszczy gości powitała drużyna najwierniejszych wojów władcy polskiego Bolesława. Teraz prowadzili oni Węgrów przez labirynt leśnych ostępów.

Królewicz uśmiechnął się na widok domostwa i światła rozcinającego mrok puszczy. Emeryk, bo tak na imię miał młodzieniec, zsiadł z wierzchowca. Z oddali dobiegały tubalne śmiechy i dźwięki instrumentów. Miejscowi czekali na węgierski orszak. Nieczęsto pojawia się tu gość tak znamienity, jak syn węgierskiego króla, a Bolesław doskonale wiedział, jak godnie przyjąć podróżnych. Uniżenie zaprosił wszystkich w swe skromne progi. Stoły ugiwały się pod jadłem, a miód przelewał się z pucharów. Podczas uczyty władca wznosił liczne toasty. Ogłosił również, że kolejny dzień wszyscy rozpoczną wielkim polowaniem - ukochaną rozrywką średniowiecznych władców i wojów!

Wreszcie biesiada zakończyła się. Znużony daleką drogą i gwarem Emeryk mógł

udać się na spoczynek. Zacisnął dłoń na wiszącym na szyi amulecie. Skromna to była ozdoba, a jakże cenna: oprawione w złoto drzazgi drewniane z samego krzyża świętego, na którym Chrystus złożył swoją największą ofiarę. Ten niezwykle przedmiot królewicz otrzymał wraz z błogosławieństwem przed długą i pełną niebezpieczeństw podróżą w darze od swego ojca - króla Węgier Stefana I. Chłopak pomyślał ciepło o ojcu i swoim kraju. Choć z dala od domu, poczuł się bezpiecznie. Zapadł w upragniony sen.

Nowy dzień goście królewskiej siedziby powitali ochoczo. Mężczyźni, zbici w niewielkie gromadki, życzyli sobie szczęśliwego polowania. Osiodłane konie rżały niecierpliwie. Wokół czekały drażnione zapachem dzikiego zwierza psy. Wreszcie ruszyli, by po chwili zniknąć w nieprzebytych, pełnych dzikiego zwierza lasach, słynących z owocnych, lecz niebezpiecznych łowów.

Emeryk wraz z kilkoma kompanami ruszył śmiało w stronę najwyższych szczytów. Zaciekle przedzierał się przez gęstwinę, pozostawiając swych towarzyszy daleko w tyle. Młodzieniec zatrzymał się i zsiadł z wierzchowca. Każdy kolejny krok stawiał coraz wolniej i mniej pewnie. - *Odwagi* - pomyślał i musnął dłonią amulet. Nagle coś zaszleściło w pobliskiej kniei. Chłopak zamarł. Nasłuchiwał. Znów jakiś ruch. Serce przyspieszyło. Po chwili lęk przegrał jednak z ciekawością. Bezszelestnie odwrócił się. Przed nim stał dorodny jeleń. Zwierzę podniosło oczy na Emeryka. Wciągnęło nozdrzami obcą woń człowieka, kojarzącą się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Jedno uderzenie serca Emeryka później - jelenia już nie było.

Królewicz rzucił się w szaleńczą pogoń. Nie chciał przynieść wstydu sobie i swemu ojcu! Rozum zasnęła mu mgła młodzieńczej odwagi i szaleństwa. Zatrzymał się.

Ciężko łapał powietrze. Nagle usłyszał trzask łamanych gałęzi. - *Zwycięstwo!* - pomyślał Emeryk na widok wyczerpanego pościgiem jelenia, którego poroże zaplątało się w gęste zarośla. Zwierzę bezradnie tłukło racicami o ziemię. Im bardziej się szarpało, tym mocniej gałęzie zaciskały się na bezradnym, opadającym z sił ciele.

Młodzieniec uśmiechnął się. Tej okazji nie może przepuścić! Wyciągnął strzałę, napiął cięciwę i wycelował łuk w bezradne stworzenie... Na moment ich spojrzenia spotkały się. I właśnie w tej ulotnej, jak góraska mgła, chwili Emeryka oślepił blask bijący z krzyża lśniącego nad porożem zwierzęcia. Porażony jasnością królewicz odrzucił łuk. Oniemiały spostrzegł, że jeleni zniknął bez śladu.

Tymczasem niewysokie góry spowił mrok nocy. Zagubiony w sercu puszczy, strudzony daremną gonitwą za jeleniem, królewicz padł na kolana. Ściskając relikwie krzyża świętego, wznosił do nieba żarliwą modlitwę. Niebiosa zlitowały się nad jego losem. Po raz kolejny prastare jodły stały się świadkami cudu: z nieba spłynęła jasność, w której ukazał się anioł. Boski posłaniec wskazał Emerykowi drogę do najbliższego siedliska ludzkiego.

- *Tam pomocy ci nie odmówią* - zapewnił anioł. - *Za ratunek musisz jednak wdzięczność okazać i zostawić tam rzecz dla ciebie najcenniejszą...* - powiedział.

Niezwykłe to było schronienie - niewielki drewniany klasztor na szczycie góry. Na jej zboczu, niczym ruiny ogromnego zamku, jaśniały wśród drzew rozległe skalne pola gołoborzy. Mnisi, zgodnie z anielską obietnicą, udzielili Emerykowi schronienia, dzieląc się strawą i skromnym posłaniem. Nad ranem, w świetle pierwszego słońca, Emeryk odnalazł swych towarzyszy. W duszy pozostała mu jednak obietnica złożona aniołowi.

Kilka dni po nieszczęsnych łowach Emeryk udał się w barwnej, uroczystej procesji

na szczyt tej przedziwnej, łysej jakby góry. Wraz z biskupem krakowskim złożył w skromnej, drewnianej kaplicy najcenniejszą relikwię. Odtąd drzewo krzyża świętego spoczywa bezpiecznie wśród puszczy jodłowej. Bolesław Chrobry, radując się wielce z tego daru, zamienił skromną drewnianą świątynię w murowany kościół i klasztor, do którego sprowadził mnichów aż z dalekiego Monte Casino.

Na cześć krzyża świętego, który wraz z królewiczem węgierskim Emerykiem przywędrował w te strony, górę z opactwem nazwano Świętym Krzyżem, a góry - Świętokrzyskimi.

Dziś Łysą Górę tłumnie odwiedzają pielgrzymi i turyści. Jedni szukają tu chwili wytchnienia i cichej modlitwy wśród klasztornych murów. Drudzy wędrują szlakami przez puszcę, by dojść na szczyt góry i rozkoszować się widokiem z kościelnej wieży czy platformy widokowej na gołoborzu. Nikt nie omija łysogórskiego klasztoru, miejsca mocy regionu świętokrzyskiego.

Sabat czarownic

Pamiętam jesienne wieczory spędzane z babcią w salonie w naszym domu w Świętokrzyskiem. Otulona kocem siedziałam na wielkim, wygodnym fotelu. Kiedy wieczory były wyjątkowo zimne, a wiatr hulał za oknem, babcia parzyła herbatę. Ten „magiczny napój” z mieszanki babcinych ziół smakował letnimi malinami i pachniał świętokrzyskim lasem. Wietrzne wieczory były wyjątkowe, bo gdy gałęzie drzew uderzały w okno, a księżyc w pełni zaglądał do naszego salonu, babcia nuciła stare piosenki lub opowiadała legendy i historie. Pewnego takiego wyjątkowo wietrznego wieczoru, kiedy siedziałam skulona pod kocem, usłyszałam, jak babcia nuci pod nosem...

– Płot – nie płot, słota – nie słota, wieś – nie wieś, a ty, biesie, nieś!

W tej samej chwili podmuch wiatru otworzył okno. Gałęzie starej jabłonki zajrzały do środka salonu. Wiatr wtargnął jak nieproszony gość, świsnął, aż przewróciły się ramki ze zdjęciami na półce, a ze stołu zsunęła się serweta. Babcia w jednej chwili pojawiła się przy oknie. I ja wyskoczyłam z fotela, odrzucając w tej samej chwili koc, podbiegłam do okna i razem z babcią zamknęłyśmy okiennice. Uff. Cisza. Nagle podskoczyłyśmy jednocześnie. W kuchni przylegającej do salonu usłyszałyśmy trzask. Podeszłyśmy. Ech, to tylko stara miotła się przewróciła.

– Trzeba wymienić te okiennice – stwierdziła babcia. – Siadaj, cała drzysz. Należę ci herbaty – zwróciła się do mnie.

– Babciu, co to była za piosenka? – zapytałam, sadowiąc się z powrotem w fotelu.

– A takie tam, coś mi się przypomniało... Bo wiesz... - powiedziała babcia, odgarniając koc i siadając w fotelu naprzeciwko mnie. – Ale najpierw daj kubek.

Należę ci herbaty.

Posłusznie wyciągnęłam kubek. Gorący napój parował, wypłam kilka łyków. Zrobiło mi się ciepło... Babcia kontynuowała rozpoczętą opowieść.

... W okolicach świętokrzyskich borów żyje wiele kobiet. Zameężnych, panien, wdów... Starych jak ja i młodych jak ty. Kobiety, które czasem swoje niezwykle umiejętności zawdzięczały siłom nadprzyrodzonym. Zdarzało się, że zsyłały na ludzi śmierć i chorobę, odbierały krowom mleko, wywoływały burze czy też odbierały miłość mężom. Zbierały zioła, rzucały uroki. Czasem posługiwały się dziwnymi znaleźkami: chrząstkami ze skrzydeł nietoperzy, piórami wrony, kopytami końskimi czy kawałkami gwoździ. Takie kobiety miały jeszcze jedną ciekawą cechę: każda miała dwa koziolki w oczach. Można je było zobaczyć tylko z bliska, dlatego starały się nigdy nie patrzeć ludziom w oczy. Czarownice... Kiedy za oknem hula wiatr, wiadomo, że mają na Łysej Górze lub Łysicy swój sabat, podczas którego sporządzają trucizny, aby szkodzić ludziom...

Czarownice... - powtórzyłam. Nadal było mi ciepło, ale gdy otworzyłam oczy, leciałam nad lasami bukowo-jodłowymi. Obok mnie na miotłach, sztachetach i łopatach do chleba leciały kobiety z rozwianym włosiem, dziko śmiejące się do złotego księżyca. Nie widziały mnie. Czułam się, jak we śnie. W powietrzu czuć było zapach ziołowej maści... Jakby każda z kobiet, które koło mnie leciały, wcześniej nasmarowała się dziwnym mazidłem...

Nie czułam ciężkości ciała, jak duch spłynęłam w dół nad lasami Puszczy Jodłowej aż na gołoborze. Świeciło się srebrzyście w świetle księżyca. Przez chwilę widziałam wieżę klasztoru na Świętym Krzyżu i ogromną sylwetę starego opactwa...

Zatrzymałam się na platformie widokowej, po której na co dzień chodzą turyści zwiedzający Świętokrzyski Park Narodowy. Czarownice zleciały na środek gołoborza

i po ich wylądowaniu kamienie roziskrzyły się ogniem. W centralnym miejscu pojawiła się jakaś postać. Majestatyczna, wyniosła... Zrozumiałam, że była to wieka czarownica. Zebrane siostry-wiedźmy kłaniały się jej, a ona odpowiadała skinieniem głowy. Po powitaniu zasiadły i zaczęły obrady. Przy okazji pokazywały sobie nowe czary. Ni stąd, ni zowąd, pojawiła się zastawa – czarownice jadły i piły – o zgrozo, za naczynia służyły trupie czaszki i skorupki jaj.

Cisza! – wrzasnęła nagle wielka czarownica. Czas zaprosić gości! – powiedziała skrzekliwie.

Rzuciła jakieś zaklęcie i nagle pojawiły się diabły z rogami i ogonami. Było ich tyle, ile czarownic. Jeden z nich, największy, podszedł do wielkiej czarownicy i poprowadził ją w pierwszej parze w rytm złowrogiej, strasznej muzyki. Zatykałam uszy, aby nie słyszeć piszczących dźwięków i rechotu czarownic.

- Na pomiotła, na pożogi, niech ludziska pomrą z trwogi! – krzyczały rozszalałe w tańcu wiedźmy.

Wtem, usłyszałam pianie koguta... Czarownice i biesy zamilkły na chwilę, po czym w wielkim rozgardiaszu szukały swoich mioteł, łopat i sztchet. Dosiadły je i czym prędzej odlatywały, jedna po drugiej, każda w inną stronę świata... A ja słyszałam tylko oddalające się, skrzeczące głosy... Hej siostrzyce czarownice, dalej żwawo na Łysicę...

Zerwałam się z przerażeniem. Byłam w salonie babci.

- Wnusi... Co ty tam mamrociesz przez sen? – babcia patrzyła na mnie zdziwiona.

- Babciu... Śniło mi się, że byłam... Na sabacie czarownic... Na gołoborzu!

- To tylko sen - zaśmiała się babcia, ale po chwili westchnęła. A szkoda, że to już tylko sen... - szepnęła, myśląc, że nie słyszę.

Legenda o Pielgrzymie

Byliście na Łysej Górze? A może tylko słyszeliście o niej? Warto poznać to ciekawe miejsce i związaną z nią niezwykłą legendę o Pielgrzymie.

Położony w sercu Puszczy Jodłowej klasztor z bezcennymi relikwiami drzewa Krzyża Świętego dał nazwę całemu regionowi świętokrzyskiemu. Już najmłodszy turyści poznają to miejsce - z rodzicami lub na wycieczce szkolnej. Ciekawość wiedzie najmłodszych przez klasztorne krużganki, którymi od wieków przechadzali się królowie, mnisi i pielgrzymi. Widok gołoborza - ogromnego pola skalnego skrytego wśród prastarych jodeł - pozostaje w pamięci na długo.

Przewodnicy i mieszkańcy okolicznych wiosek znają wiele rozpalających wyobraźnię historii, którymi chętnie dzielą się z przyjezdnymi. Jedną z nich to opowieść szczególna. Zaczyna się od nietypowego gościa, który od wieków zmierza ku Łysogórskiemu opactwu. I lepiej dla nas, by nigdy tam nie dotarł...

U podnóża Łyśca, w miejscowości Nowa Słupia, stoi skromna figura. Smagana srogim wiatrem, nękana deszczem i śniegiem już dawno straciła swój kształt. Wciąż jednak można rozpoznać w niej zarys postaci. Odziana skromnie w długi płaszcz, z rękami złożonymi do modlitwy, zwraca się twarzą w stronę tonącego w Łysogórskich mgłach opactwa. Tego dziwnego Pielgrzyma spotkamy przy szlaku zwanym Drogą Królewską. Tędy na szczyt Łyśca wchodził władcy i najznamienitsi pielgrzymi, a wśród nich sam król Jagiełło przed wymodloną wśród klasztornych murów wiktoria grunwaldzką. Tędy też przed wiekami zmierzał niezwykły pątnik...

Sława jego czynów zawitała do Nowej Słupi na długo przed wizytą króla. Jak to było? Posłuchajcie...

Oto na szczyt Łysej Góry zmierza rycerz! Ten jedyny, w boju waleczny, pobożny wielce, odważny i lojalny wobec swego władcy. Ten, co po latach wyczerpującej wojennej tułaczki porzucił stan rycerski. Ten, co miecz odrzucił i uroczyste śluby złożył, że resztę swego życia spędzi, pielgrzymując do wszystkich miejsc świętych. I tak odwiedził już i Rzym, i Jerozolimę, i Santiago de Compostella. Nie pominął żadnego świętego miejsca oprócz jednego jeszcze, jego sercu najbliższego - najstarszego polskiego sanktuarium.

Wiele trudu włożył, by dotrzeć w to skryte wśród jodłowej puszczy miejsce. Niestraszne były mu jednak głód, brak snu, dziki zwierz i zbójcy. Oto stanął, w glorii porannego słońca, w sercu Nowej Słupi u stóp Łyśca. Wokół rynku zgromadziła się gawiedź ciekawa tego stąpającego po ziemi świętego. Z Pielgrzyma biła duma i buta. Zgromadzony tłum spijał z jego ust opowieści o podróżach w święte miejsca. Sam chwalił swą pobożność i aby jeszcze świętszym się wydać, padł na kolana i uroczyście przysiągł, że resztę drogi do klasztoru pokona na klęczkach, nie bacząc na trudy górskiej wyprawy wśród prastarej puszczy.

Cizba gęstniała. Ciekawscy gapie nie opuszczali pielgrzyma ani na krok. Patrzyli, jak ten w trudzie i znoju zmierza ku ostatniemu świętemu miejscu. Wreszcie dotarł na skraj lasu. Wiatr tańczył wśród drzew, poruszając delikatnie młodymi bukowymi listkami. Nikt nie śmiał zakłócić pobożnej ciszy. Nikt z tłumu nie wydał z siebie najłżejszego nawet głosu, najdelikatniejszego nawet oddechu.

I wtem ze szczytu Łyśca odezwały się klasztorne dzwony. Grzmiący, triumfalny dźwięk rozniósł się falą w milczącym dotąd powietrzu. Przez tłum przeszedł pomruk zdziwienia: Toż to nie czas, by dzwony biły! Niezwykły one o tej porze się odzywać! Co się stało? Dlaczego opat w nie uderzać kazał?

- Głupcy! Czyny me znacie i śmiecie jeszcze się dziwić, czemu dzwony biją? - odezwał się pielgrzym. - Ich serca uderzają na cześć i chwałę moją! Dzwony mądrzejsze są od opata! Same się odezwały, bo wiedzą, że oto ja, człowiek najwspanialszy, zbliża się do klasztornych bram! - wołał wędrownik.

Ledwo te słowa wypowiedział, zatrzymał się w swej drodze i na oczach tłumu zamienił się w kamień. Zdziwieni ludzie, nie wierząc zmysłom, dotykali posąg, wznosili modły o łaskę dla tego niezwykłego człowieka. Na próżno! Raz zamieniony w kamień, na wieki kamieniem pozostał.

Jednak Pielgrzym nie stoi w miejscu, lecz mozolnie zmierza ku górze. Co rok przesuwa się tylko o tyle, co najmniejsze ziarnko piasku. Jego pokuta zakończy się, gdy wreszcie dotrze do bram klasztoru na Łyścu. Wtedy grzech pychy będzie mu odpuszczony. U kresu jego podróży czeka nas jednak... koniec świata.

Wędrując na Święty Krzyż, zatrzymajcie się choćby na chwilę przy tej tajemniczej figurze. Wokół szumią jodły. Od szczytu Łysej Góry dzieli Was zaledwie kilkadziesiąt minut, a naszego Pielgrzyma - setki, jeśli nie tysiące lat wędrówki.

Legenda o powstaniu gołoborzy

- Gorąco tu... jak w piekle - prychnął i zdjął ciężką, czarną kurtkę. Gęsty las jodeł i buków, porastający Łysiec nie dawał nawet najmniejszej odrobiny chłodu. Nieśpiesznie postawił pierwszy krok na metalowych schodach platformy widokowej. Po kilkunastu krokach pod jego stopami zajaśniało pole usiane olbrzymimi głazami. Otarł pot z czoła. Gołoborza... nie mają tu wstępu ani jodły, ani buki. Drzewa boją się zapuścić tu korzenie. W letnie dni, takie jak ten, na nagranych skałach wygrzewają się jaszczurki i węże. A nocą... - uśmiechnął się do siebie. Dopiero nocą gołoborza tętniły życiem! Pulsowały diabelskim tańcem, gorące od ognia, nad którym czarownice warzyły tajemnicze mikstury, rzucając tylko sobie znane zaklęcia. Jak on dobrze pamiętał te legendarne sabaty!

Nagle z rozmyślań wyrwał go rozcinający ciszę gwar. Głośne śmiechy i rozmowy stawały się coraz wyraźniejsze. Mężczyzna zacisnął dłonie na metalowej balustradzie. Poczł, jak spokojne zbocze Łyśca ożyło - zupełnie, jakby zleciały się tu wszystkie czarownice z okolicy. Po chwili na schodkach pojawił się młody mężczyzna, a za nim, drobnymi kroczkami podążało kolorowe stadko turystek. - Oby byli tu jak najkrócej - mruknął samotny do tej pory mężczyzna.

Panie na widok gołoborza wydały z siebie okrzyki zachwytu. Aparaty i smartfony na długich kijkach poszły w ruch. Przewodnik poczekał chwilę i zaczął swoją opowieść.

- Drogie panie, oto skarb naszego Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Oto... gołoborza! - przewodnik zrobił efektowną pauzę. - Sama nazwa nawiązuje do ludowego powiedzenia, że są to miejsca nie-za-le-sio-ne, czyli go-łe-od-bo-ru.... Skały, które widzimy wokół, to piaskowce kwarcytowe, a naukowcy dowodzą, że

powstały nawet pół miliarda lat temu - mówił przewodnik.

- O, to starsze ode mnie! - roześmiała się rezolutna starsza pani w ogromnym słomkowym kapeluszu.

- Idealny materiał na czarownicę - mężczyzna coraz mocniej zaciskał dłonie na rozgrzanej barierce.

Przewodnik odchrząknął i kontynuował: - Choć skały budujące gołoborza są bardzo stare, to te unikalne rumowiska powstały stosunkowo niedawno. Cały proces zaczął się jakieś 80 tysięcy lat temu, kiedy to obszar Gór Świętokrzyskich znajdował się na przedpolu lodowca. Wiedzą panie, jak powstały gołoborza? - zapytał.

Przybysz nadstawił uszu. Jak powstały gołoborza? Na ten temat spierają się przecież dużo starsze od niego diabły! Jak taki dzieciak może wiedzieć, jak powstały gołoborza?

- Było tu wtedy dość zimno, nie tak jak dziś - chłopak zaśmiał się i otarł pot z czoła. - Temperatura wahała się w okolicach 0 stopni Celsjusza. Woda na zmianę rozmarzała, wdzierając się w szczeliny skalne i zamarzała ponownie. A jak woda zamarza, to wiadomo, zwiększa swoją objętość i potrafi skruszyć twarde skały. Tak właśnie stało się tutaj - opowiadał przewodnik.

- Naukowcy! - diabeł prychnął z pogardą. Plejstocen... To przecież nie tak! Jedno miejsce - setki opowieści, legend i tajemnic. Kto pokruszył skały na gołoborzu? Jaka siła rzuciła, niczym okruchami chleba, tymi wielkimi głazami w zbocza góry? Różnie przecież w piekle gadali... Najstarsze diabły, przesiadując wieczorami nad smolistym kotłem, nie raz wspominały ten świt, kiedy to zginął ich nieodżałowany, najdzielniejszy z towarzyszy.

Wiadomo nie od dziś, że diabłom nie w smak był klasztor na świętokrzyskim wzniesieniu. Na wielkiej naradzie czarty ustaliły, że kościół należy szybko obrócić

w ruinę. Do wykonania zadania zgłosił się jeden z nich, najbardziej hardy, znany w całym piekle ze swojej siły i odwagi. Gdy tylko słońce schowało się za horyzont, wyleciał z piekła i pognął w stronę Tatr, by stamtąd, na własnych barkach, przywlec najcięższy głaz i raz na zawsze pogrzebać pod nim niemiły diabłom klasztor.

Na miejscu długo się trudził, wybierając skałę, aż w końcu trafił na największą, jaką kiedykolwiek widział. Uniósł ją z trudem i ruszył powoli przez nocne niebo, za drogowskaz mając tylko blask gwiazd. Szybko okazało się jednak, że wybrał dla siebie zbyt ciężki bagaż.

Gdy załśniły pierwsze promienie słońca, przelatywał dopiero nad Górą Klonówką. Wtem kogut przywitał świt głośnym "ku-ku-ry-kuuu!", dając znać diabłom, że oto nadszedł kres nocy i ich panowania na ziemi. Przerażony czart poczuł, jak opada z sił, a kamień ciągnie go nieubłagalnie w dół, ku zalesionym szczytom. Nie było już dla niego ratunku - runął na ziemię, a skała pogrzebała go na wieki.

Wieść o tragedii rozniosła się szybko. Już następnej nocy wszystkie okoliczne diabły zgromadziły się wokół znienawidzonego klasztoru, by wspólnie opłakiwać stratę swego towarzysza. Tuż po zmroku zleciały się na przeklętą górę. Smutny był to dla nich czas.

Wszystkie rzewnie płakały, a każda ich łza, która na ziemię upadła, zmieniała się w jasny, twardy głaz. Stąd tyle skał na Łysej Górze. Czy tak było naprawdę? On sam tego nie pamiętał. Inne diabły też nie wiedziały na pewno. Jeden z nich opowiadał mu przecież inną historię...

Otóż, dawniej stał na szczycie tej góry potężny zamek. Jego mury białły w słońcu dnia i lśniły blaskiem tysiąca gwiazd. Bezpieczne to było schronienie wśród nieprzebytej, prastarej górskiej puszczy. W wygodnych komnatach mieszkała pani otoczona liczną służbą. Na jej najbardziej błahy nawet rozkaz gotowi byli sami

Olbrzymi. Pani wykorzystywała siłę tych potężnych istot. To właśnie Cyklopi (bo tak też zwykło się na nich mówić) zebrali przed wiekami imponujące bryły piaskowca, wtaszczyli je na górę i wzniesli z nich zamczysko.

Od tych przeogromnych i straszliwych postaci, większe i straszniejsze było na świecie jedno tylko zjawisko - pycha owej Pani. Wieść niosła, że przed laty, u stóp swej fortecy, pokonała wojska samego Aleksandra Macedońskiego. Odtąd, wiedzona butą, kazała czcić się jako przepotężną boginię Dianę.

Los nakazuje jednak, by w życiu zachować skromność i pokorę. Na silnego zawsze znajdzie się przecież silniejszy. Pycha i buta samozwańczej Diany doczekała się kary. W ten niezwykły dzień smoliste chmury zasnuły krystalicznie błękitne niebo. Nad fortecą rozpętała się straszliwa burza, a gromy roztrzaskały zamek, grzebiąc wśród ruin Panią i służących jej Olbrzymów.

Po budowlu pozostało jedynie rumowisko. Najwięksi śmiałkowie, którzy zapuszczają się dziś samotnie na łysogórskie gołoborza, znajdują wśród skał kości olbrzymich stworzeń. Czy to pradawne stwory, co to kiedyś po ziemi chodziły? Czy to właśnie Olbrzymi, którzy służyli owej Pani? Trudno dziś dociec. Zamek legł w ruinie - pozostała tylko opowieść.

- O miejscu tym krążą liczne legendy - przewodnik znów brutalnie przerwał rozmyślania mężczyzny. - To tu odbywały się legendarne sabaty czarownic. Według podań ludowych gołoborza to ruiny zamku, w którym mieszkała Pani... - ciągnął swoją historię.

- Podania! Legendy! Jakie legendy? - tego już było za wiele. Przecież sam słyszał, na diable uszy, jak inni mówili, że w którejś z tych opowieści drzemie prawda! Poczuli, że nie wytrzyma, że zaraz się odezwie i...

- ... a kamienne głązy to łzy diabłów, płaczących nad czartem, który stracił życie,

próbując zniszczyć opactwo. Drogie panie, a teraz proszę zwawo! - przewodnik poganiał grupę. - Zaraz pójdziemy dalej. Po drodze zobaczymy tak zwany wał kultowy. To nic innego, jak ułożony ręką ludzką stos skał. Archeolodzy uważają, że powstał między ósmym a dziesiątym stuleciem. Do jakich celów służył? Tego nie wiemy tak na sto procent. Zdaniem niektórych, pełnił funkcję obronną. Inni twierdzą, że wały kultowe otaczały miejsca uznawane za święte i są dowodem na to, że Łysa Góra była miejscem kultu pogańskiego. Chodźmy, upał i czas na goni - zakończył entuzjastycznie.

Grupa odeszła. Diabeł został sam. Kusiło go, by poczekać do zmierzchu i wznieść się w powietrze. Raz jeszcze poczuć klimat sabatów. - Ale... po co robić zamieszanie? - westchnął ciężko i nieśpiesznie ruszył ku Nowej Słupi.

Legenda o zbójcu Madeju

Owiane tajemnicą, pełne legend i opowieści. Takie są Góry Świętokrzyskie. Wśród niewysokich, ale zaskakujących wzniesień i rozległych dolin znajdują się miejsca, które zostają w pamięci na długo. Przede wszystkim docenią je jednak ci, którzy szukają spokojnych plenerów na kameralne wędrówki wśród prastarych lasów.

Nieprzebyta puszcza jodłowa widziała wiele. Wiele też słyszała. Poruszone wiatrem bukowe liście przekazują sobie tylko znanym językiem tajemnice i historie dawnych czasów. Dziś, wędrując łagodnie opadającym ku dolinom wzgórzami, trudno uwierzyć, że okolica ta dawała niegdyś schronienie łotrom i zbójcom. Ukryci przed prawem, czaili się przy leśnych duktach. Kupcy z trwogą myśleli o przejeździe traktem pod Łysą Górą, a ich serce zamierało za każdym razem, gdy z przydrożnych zarośli słyszeli choćby najcichszy trzask łamanej gałęzi.

Trzask! Ogień palił się żwawo, trawiąc grube, bukowe konary. Wokół sagana pełnego strawy tańczyły ulotne złote iskry. Na ścianę skrytego w głębi lasu schronienia padał cień niewysokiej, zgarbionej postaci. Kobieta, mimo sędziwego wieku, poruszała się z werwą. Krzątała się w codziennym tańcu wokół niewielu sprzętów zajmujących skromną, lecz schludną siedzibę. Nagle zamarła w bezruchu. Przyzwyczajone do ciszy uszy wychwyciły dźwięk niepasujący do jej codzienności. Kroki jakby... ale inne...

- Madej? - zdziwiła się. - Słońce jeszcze nie skryło się za wzgórzami, a ptaki nie ucichły. Za wcześnie wraca...

Ale kroki nie ustawały. Zbliżały się. Za szybko, za lekko. To nie jej syn. A więc obcy!

Trzask! Drzwi otworzyły się nagle. Przed zgarbioną starowiną stanął młodzieniec. Jego ciekawe, pełne życia oczy błędziły po domostwie, by zatrzymać się na garze ze strawą.

- A więc głodny! Z daleka pewnie! - pomyślała kobieta.

- Pochwalony! - rzucił donośnym głosem.

- A pochwalony! - odrzekła kobieta. - A skąd to idzie? Kto w Łyse Góry iść kazał? Buty ma zdarte i w kurzu całe, więc pewnie z daleka idzie, e?

- Od Krakowa zmierzam... zbłądziłem. Zmrok nadchodzi, a nigdzie ani gospody, ani domostwa...

- Tutaj zostać nie może! - wykrzyknęła starowina. - Na jodły szumiące, zostać tu nie może! Madej zaraz powróci! I nie będzie już wtedy dla ciebie ratunku!

Trzask! Grube gałęzie łamały się jak zapałki pod niedbałymi, szybkimi krokami.

- Za późno! Nadchodzi już! Biada ci, chłopcze! Jeśli życie ci miłe jeszcze, kryj się, kryj się! Na skarby klasztorne, kryj się!

Ogień przygasł na chwilę, gdy z łysogórskim wiatrem do izby wszedł Madej. Chłop większy od dębu i od odyńca dzikszy. Matkę przywitał krótko, z dziwnym jednak szacunkiem. Usiadł ciężko przy garze. Zaczął jeść.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Wciągnął powietrze. Dziwny zapach! Obcy! Zerwał się z klepiska. Oczy otworzyły się szerzej, a ręka powędrowała w stronę stojącej obok maczugi. Wściekły zaczął rozrzucać nieliczne, liche sprzęty. W końcu

odnalazł młodzieńca. Gniew zapłonął w oczach zbója. Gniew, który nakazał mu podnieść maczugę i zadać cios.

- Madeju! Toż to tylko liche stworzenie zbłąkane! - krzyknęła matka zbója. - Niewarte zachodu, niewarte gniewu twego! - Odpocznij, synu! Strawa stygnie!

Przerażenie na twarzy młodzieńca ustąpiło zdumieniu, gdy Madej posłuchał matki. Usiadł potulnie przy ogniu. Cały czas nie spuszczał jednak oczu z intruza.

- Uszanowanie dla gospodarza... - zaczął młodzieniec - Ja spokoju domostwa naruszać nie chciałem. Szukam schronienia na drodze z Krakowa... do królestwa Lucyfera zmierzam!

Madej na dźwięk tego imienia znieruchomiał. Twarz mu poszarzała, spojrzenie zrobiło się nieodgadnione, przenikliwe i puste zarazem.

- Niech opowiada dalej, to śmierci uniknie! - zawyrokował po dłuższym milczeniu.

- Ależ gospodarzu, ja czasu jegomości marnować nie będę...spieszno mi...

- NIECH OPOWIADA!!! - ryknął Madej. Ciężki, jak głaz gołoborza głos przycisnął przybysza do podłogi. Jeśli chciał ujść z życiem, musiał ratować się opowieścią.

Trzask!

Wóz ugiął się pod ciężarem towarów, które bogaty kupiec wiózł aż z Krakowa. Słońce chowało się już za klasztorem na szczycie Łysej Góry. Zmęczone konie potykały się co chwila. I wtedy, przed samą Trzcianką, jedno z kół obładowanego wozu ugrzęzło na wilgotnym jak grzęzawisko świętokrzyskim trakcie. Znużone szkapy na próżno szarpały i parły do przodu. Ich kopyta tonęły w błocie, a koła fury zapadały się coraz głębiej. Nadchodził zmierzch - czas dla zbójców. W sercu kupca rosła trwoga, a nadzieja na ocalenie kurczyła się, by w końcu zniknąć w łysogórskiej mgle.

I tak się złożyło, że od strony Bartoszowin traktem zmierzała jakaś postać. Szła pewnie i szybko. Strój nie wskazywał na to, że mógłby być to zbój. Mężczyzna w prostej, ciemnej szacie przypominał mnicha. Jednak coś w jego spojrzeniu i gestach budziło niepokój.

- Nie strach to z towarem samemu traktem pełnym zbójów podążać? - głos wędrowca przeciął ciszę nocy.

- Strach, ale znikąd pomocy, a towaru i koni na pastwę zbójów nie zostawię! - kupiec machnął ręką w stronę wozu.

- Ano nie... faktycznie - oczy przybysza zalśniły w ciemności. - A może ja wóz z grzędawiska mógłbym ruszyć? Nie za darmo oczywiście...

„Trudno. Każda przysługa wymaga zapłaty. Niech stracę” - pomyślał handlarz, a głośno rzekł: - Jakaż to rekompensata za trud ten niewielki by się należała?

- Niewielka, niewielka... tylko to, co zostawiłeś w domu, a o czym jeszcze nie wiesz...

„Dziwny ten pielgrzym, zaiste dziwny. Mówi zagadkami. O czym to ja wiedzieć nie mogę? Domu wiele miesięcy nie widziałem. Wciąż interesy... pewnie niewiasty bibelotów i świecidełek nakupiły. Dla ludu miejscowego cenne to być może...”

- Zgoda zatem! - odparł uradowany. I zanim zdążył w ręce klasnąć, przybysz niewiadomo skąd kontrakt wyciągnął i pod sam nos mu podsunął. A że gęsiego pióra przy sobie nie miał, kupiec krwią z własnego palca dokument podpisał. Wędrowiec niemal jedną ręką wóz z grzędawiska wyciągnął. Sprawnie uporał się z zadaniem, zupełnie jakby pomagały mu siły nieczyste. I tak właśnie było...

Trzask! Młodzieniec klasnął w dłonie.

- I w ten oto sposób ojciec mój sprzedał moją duszę diabłu za wóz pełen towaru...

Nie wiedział bowiem, że w czasie jego nieobecności w domu moja matka na świat mnie wydała... A ja diabłu tak łatwo się nie dam! Teraz do piekła zmierzam, by duszę moją odzyskać – mówił młodzieniec.

Madej siedział zasępiony. Odwaga chłopca podziwu była godna, a nie śmierci z ręki prostego zbója.

- Słyszałem o Lucyferze i jego bandzie! Pełno ich tu w górach, harce z czarownicami uprawiają. Wiem, że i ja z nimi się spotkam kiedyś. Bo wiele w życiu zgrzeszyłem...

Zbój sposepniał, zamyślił się i wydał wyrok:

- Dziś ujdiesz z życiem! Zwrócę ci wolność. Szukaj bram piekielnych w tych ciemnych lasach. A jeśli przetrwasz spotkanie z diabłem, wróć tutaj i powiedz mi, co moce piekielne dla mnie za wszystkie zbrodnie moje szykują - powiedział.

- Madeju, wróć na pewno! Opiekuj się matką i wypatruj mnie niebawem! - zawołał chłopak.

Trzask! Bramy piekielne zamknęły się głucho. Strudzony młodzieniec, po wielu dniach tułaczki, wreszcie odnalazł swój cel. Nos raził mu ostry zapach siarki. Oddech gęstniał w gorącym od piekielnego ognia powietrza. Skóra cierpła od jęków i złorzeczeń potępionych. Wokół uwijały się diabły, szykując najwymyślniejsze tortury tym, którzy zbudowali swe życie na występku i kłamstwie. Dla nich nie było już ratunku.

Błądząc i klucząc, unikając spojrzeń wszędobylskich biesów, dotarł wreszcie do komnaty samego Lucyfera. Siedział, dziki i potężny, przykuty łańcuchami do ogromnego tronu. Przez środek sali płynęła lawa. Za żyrandole służyły tryskające ogniem wulkany.

„Zwycięstwo lub wieczne potępienie!” - pomyślał chłopiec i stanął dzielnie przed

obliczem Złego. Ten zdumiał się wielce na widok śmiałego człowieka. Zanim jednak zdążył zawołać straż, chłopiec zawołał: - Lucyferze! Podstępem sługa Twój ojca mego zwabił, by duszę moją ci zaprzedał. Żądam, byś umowę przyniósł i na moich oczach w ogniu piekielnym ją spalił!

Lucyfer oniemiał. Zdziwiła go śmiałość młokosa. Zdziwiła, a po chwili wielce rozbawiła. Król piekieł roześmiał się tubalnie. Postanowił zabawić się kosztem śmiałka.

- A jeśli nie oddam cyrografu? To?

- Oddasz! Oddasz natychmiast! - wykrzyknął i wyjął spod sukmany kropidło ze święconą wodą.

Śmiech ugrzązł Lucyferowi w gardle, gdy pierwsze święte krople żywym ogniem paliły mu skórę. Straż nie nadchodziła. - Oddam! Zrobię to! Tortury już więcej nie zniosę! - wykrzyknął.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem. Z kropidłem w rękach bacznie obserwował Lucyfera. Ten klasnął w dłonie i przywołał jednego ze sług. - Przynieś no kontrakt na tę duszę dziką. I śpiesz się! Bo jak nie, to każę cię położyć na Madejowym łożu!

Madejowe łoże!? Groźba ta musiała być straszliwa. Przerażony czart, bijąc w pas pokłony, wypadł z komnaty. Po chwili krótszej niż mrugnięcie powiek powrócił z cyrografem w dłoni. Wręczył papier młodzieńcowi, który wrzucił dokument do rzeki lawy. Karty podpisane krwią ojca zniknęły w jej odmętach. Wolność!

Pamiętał jednak o obietnicy złożonej Madejowi. Wychodząc, zajrzał do ogromnej sali, gdzie na środku stało madejowe łoże - narzędzie tortur tak okrutne, tak zmyślne w zadawaniu bólu, że samo patrzenie na nie budziło trwogę i cierpienie.

Chłopak zapamiętał ten widok, a wracając, opowiedział o wszystkim Madejowi. Zbój przeraził się wielce. Wybiegł z kryjówki, a na niewielkim wzgórzu padł na kolana i prosił niebiosa o przebaczenie.

- Madeju! Wiem, że kiedy wrócę do domu, to kariera duchownego mnie czeka. Wrócę tu i rozgrzeszę cię. Wiesz przecież, że ja słowa swego dotrzymuję. Ale tylko jeśli wszystkie moje warunki spełnisz. Od dziś zaprzestaniesz rozboju. Maczugę swoją w ziemię wkopiesz. Każdego dnia na kolanach będziesz chodził do strumienia, by wody w usta nabrać i maczugę podlewać. Nie zapominaj o potrzebujących - cały zrabowany majątek oddaj biednym! - młody wędrowiec pożegnał zbója i po długiej podróży, nareszcie wolny, powrócił do domu.

Trzask! Gałązki łamały się pod ciężarem okazałego powozu. Biskup krakowski wraz ze swoją świtą jechał niespiesznie ku łysogórskiemu opactwu. Przemierzając leśne ostępy, przypominał sobie, co wydarzyło się tu ponad dwadzieścia lat temu. Nie wiedział, czy Madej żyje jeszcze i czy obiecaną pokutę odprawił.

Wysiadł z powozu. W powietrzu unosiła się świeża i nietypowa dla puszczy woń jabłek. Na niewielkim wzgórzu, gdzie przed laty rozstał się z Madejem, rosła rozłożysta jabłoń. W jej cieniu siedział pogrążony w modlitwie starzec. Bez trudu rozpoznał w nim Madeja, a w jabłoni - maczugę, która wrosła w ziemię i wydała owoce. Madej padł krzyżem przed duchownym. Poprosił o obiecanę przed laty rozgrzeszenie. Zbój rozpoczął spowiedź, gdy pierwsze promienie zachodzącego słońca oświetlały uginającą się od owoców jabłoń. Z każdym wyznaniem grzechem, jedno jabłko zmieniało się w gołębia, który wlatywał ku niebu.

Ziemię oświetlał już dawno blask księżycy, gdy na drzewie został tylko jeden, najcięższy owoc. Symbol grzechu, który wyznać było najciężej. W końcu Madej

wyznał, że winny jest śmierci własnego ojca. Gdy tylko ubrał grzech w słowa, ostatnie jabłko przemieniło się w białą gołębicę, która wzleciała ku nocnemu niebu. Nie było nic więcej do wyznania. Biskup rozgrzeszył starca. Jego ziemską niedola dobiegła końca. Zamknął oczy, westchnął głęboko, a jego ciało zamieniło się w proch.

Trzask! Drobne gałązki pękają pod butami turystów wędrujących szlakami w Górach Świętokrzyskich. Niewielu z nich myśli pewnie o Madeju, za dużo tu pięknych widoków i miejsc wartych odwiedzenia. Żaden z nich nie odnajdzie z pewnością jego górskiej kryjówki. Może któryś z nich, w ciszy i komforcie hotelowego pokoju, szukając inspiracji na kolejną wyprawę w Świętokrzyskie, sięgnie do legend i pomyśli o zbójcu, który uniknął najgorszej piekielnej kary?

Legenda o zamku Chęcińskim

Dobrze posiedzieć po długiej podróży na rynku w Chęcinach. A przybyłem tu z Kielc pieszo! Skuszony obietnicą ciekawego kilkugodzinnego przejścia czerwonym szlakiem.

– Chęciny i okolice to tereny znane z wydobywania wapieni, które po oszlifowaniu wyglądają, jak marmury. Do dziś zdobią wiele zabytkowych obiektów w Polsce i za granicą. Idąc szlakiem z kieleckiej Karczówki do Chęcin, zobaczy pan miejsca po działalności górniczej, wydobywaniu rud żelaza i galeny. Dawne kamieniołomy, miejsca wydobywania rud... a najpiękniejszy widok czeka na pana po zejściu z grani góry Zelejowej – mówiła miła pani w Informacji Turystycznej w Kielcach.

Miała rację. Uważając na tarniny, wyszedłem z Zelejowej na drogę prowadzącą do Chęcin. Widok średniowiecznych ruin towarzyszył mi do samego rynku. Spokojne popołudnie małego miasteczka umilał widok na wyniosłe ruiny. Posiedzę chwilę i zaraz ruszam w drogę. Ale najpierw poczytam Wam o chęcińskich legendach.

Najsłynniejszą kobietą w historii Chęcin była Bona – królowa, bardziej znienawidzona niż kochana przez poddanych. Ale, czy słusznie? Nie mnie to oceniać. Bona, bogata jak marzenie, swój skarb trzymała w jednej z najbezpieczniejszych warowni Pierwszej Rzeczypospolitej – zamku w Chęcinach. Królowa przebywała tu, czekając na zezwolenie swojego syna, króla Zygmunta Augusta, na wyjazd z Polski do Bari. W końcu Bona wjechała, a za nią ciągnął orszak z wozami pełnymi skarbów. Co w tych wozach było? Pieniądze, kosztowności, klejnoty – wszystko to, czego pożąda ludzkie serce. Przy przeprowadzce przez Nidę, most załamał się pod ciężarem kosztowności. A było to we wsi zwanej dziś... Mosty... Czy to przypadek?

(Lektor ziewa) Trochę się zasiedziałem. Zaczęło się ściemniać i na zamku zapalono

chyba lampę. Albo jestem zmęczony i mam zwidy... Podobno Bona wraca do zamku jako duch i szuka swoich kosztowności... Czy to tłumaczyłoby tę zjawę na zamku? Nie... Wydawało mi się. To ze zmęczenia...

A Wy? Jesteście zmęczeni? Jeśli nie, to opowiem Wam jeszcze jedną legendę... Na obecnym zamku dolnym znajdowała się głęboka studnia, która sięgała poniżej poziomu górnego rynku. Do tej studni wpuszczono kiedyś kaczkę, a ona wypłynęła... w studni na rynku w Chęcinach! To całkiem możliwe, bo zjawiska krasowe w wapieniach dewońskich są bardzo częste. Kto wie, ile jaskiń i szczelin znajduje się pod chęcińskim zamkiem? Ludzie opowiadają o podziemnym korytarzu, który łączył kaplicę Fotygów w kościele św. Bartłomieja z warownią.

Czas iść dalej, ale opowiem coś jeszcze... Podobno pewien angielski lord dowiedział się o istnieniu marmurowego miasta w Polsce. Postanowił, że je odwiedzi. Oczami wyobraźni widział schody, ulice, domy i przepiękne katedry – miasto wyrzeźbione w kolorowym marmurze. Jakież było jego zdziwienie, kiedy wysiadł na rynku w Chęcinach. Z pogardą spojrział na ubogich mieszkańców, domy i ulice. Wpadł w złość i czym prędzej opuścił Polskę.

Mimo złych wspomnień mojego przodka, zdecydowałem się odwiedzić Chęciny – i nie żałuję! To miasteczko jest piękne!

Legenda o Halinie Krępiance

Na wschodnim krańcu Świętokrzyskiego, po obu stronach Wisły, leży królewski Sandomierz - małe zabytkowe miasto z ceglanym ratuszem i kolorowymi kamieniczkami, tłoczne od turystów podążających śladami Ojca Mateusza. Barwne, gwarne, radosne...

Sandomierz XXI wieku to miasto kultury, historii i dobrego smaku. Miasteczko z duszą, w którym mile widziani przyjezdni odpoczywają od gwaru metropolii. Dzisiaj rozkoszujemy się tą sandomierską, niemal sielankową atmosferą, ale warto zerknąć w przeszłość, by poznać historię miasta i cenę, którą trzeba było zapłacić, aby Sandomierz był taki, jak dziś. A było to tak...

W XIII wieku Tatarzy najeżdżali ziemie polskie. Wyborowi jeźdźcy łatwo znosili trudy długiej podróży i dzięki sprytowi i okrucieństwu szybko podbijali nawet dobrze obwarowane miasta. Trzykrotnie najeżdżali Sandomierz, a ten trzykrotnie bronił dzielnie swoich mieszkańców i ich dobytku. W jednej z takich walk zginął Piotr Krępa - kupiec, który osierocił córkę Halinę. Dziewczyna dorastała w królewskim mieście, ale na życiu jej i mieszkańców Sandomierza cieniem kładła się smutna przeszłość... Pewnego dnia zza Wisły znów zaczęły docierać straszne wieści o hordach Tatarów, idących na Sandomierz. Witkonowi - dowódcy miasta - nie udało się na czas odesłać najsłabszych za miasto. Tatarzy swoim zwyczajem okrążyli gród i u jego stóp rozłożyli obóz, regularnie nękając jego mieszkańców. Przedłużające się oblężenie, topniejące siły odpierających atak, brak żywności mocno osłabiły załogę i Witkon rozważał poddanie grodu. Wtedy dzielna Halina Krępianka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i przedstawiła dowódcy swój plan. Wiązał się on z tajemnicami królewskiego grodu, posadowionemu na malowniczych wzgórzach przecinanych lessowymi

wąwozami.

Żyzne sandomierskie lessy nie tylko rodziły znakomite plony, miały też inną zaletę. Miękkie, sypkie skały były wręcz idealne do drążenia tuneli. Sieć takich korytarzy znajdowała się pod Sandomierzem, a szczególnie pod rynkiem miasta. W podziemiach kupcy składowali towary. Nikt nie znał tak dobrze sandomierskich podziemi, jak Halina, córka kupca. Wiedziała ona również, że za miastem znajduje się do nich tajemne wejście.

- Pójdę do wodza Tatarów, powiem, że chcę się zemścić na sandomierzanach, zaprowadzę ich do wejścia, zgubię w czeluściach, a wy zaryglujecie wejścia z dwóch stron – zdradziła swój plan dziewczyna.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Założyła na siebie płaszcz i wyszła na wały. Pod okryciem trzymała małego gołąbka, którego miała wypuścić, gdy Tatarzy znajdą się już w podziemiach. Strach przeszywał serce młodej dziewczyny, kiedy szła w kierunku postaci trzymających w rękach pochodnie. Zdziwieni Tatarzy nie mogli oderwać od niej wzroku.

Halina wyjawiała im swą misję: - Dowódca grodu Sandomierz wzgardził moim uczuciem. Żądza zemsty leży po mojej stronie. Po twojej – rychłe zwycięstwo. Ale powiadam ci, słyszałam, że posiłki nadciągają. Łatwiej będzie ci się bronić w grodzie niż poza nim. Znam tajemne wejście do miasta. Wystarczy, że mnie posłuchasz, a szybko zwyciężysz, ja zaś nasycę się zemstą – Halina przedstawiła Tatarom swój plan.

Wódz tatarski, mimo podejrzeń starszyny, przystał na to. Zdecydowano, że Halina wejdzie jako pierwsza do podziemi i będzie przewodnikiem żołnierzy. Wkrótce w tunelach znaleźli się Tatarzy z pochodniami – najlepsi z wojów chana. Dziewczyna nie liczyła, ilu ich jest, odważnie szła przed siebie... Wiedziała, że gdy tylko ostatni

Tatar zniknie w czeluściach podziemnych korytarzy, ukryci wojowie Witkonia szybko zamurują wejście. Halina z rozmysłem długo błądziła po podziemiach, wodząc za sobą Tatarów. W końcu ich dowódca zorientował się, że wpadli w zasadzkę. Dziewczyna była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie ulękła się jednak wroga. Gdy jeden z Tatarów z nieokiełznanej złości rzucił oszczepem prosto w jej serce, Halina zdążyła jeszcze przed śmiercią wypuścić gołąbka, który dał znać Witkonowi o wykonaniu zadania.

Dziś Sandomierzowi nie zagrażają już Tatarzy, ale pamięć o dzielnej Halinie Krępiance pozostała i tę legendę opowiadają przewodnicy, oprowadzając turystów po Podziemnej Trasie Turystycznej, do której wejście znajdziecie w kamienicy Oleśnickich na sandomierskim rynku. Może spotkacie tam ducha dzielnej Haliny?

Legenda o zbójcu Kaku

Złote pola coraz ciaśniej okalają ciemnozieloną puszcę jodłowo-bukową... Bezpieczne drogi prowadzą do świętokrzyskich miast i miasteczek... Na szlaku ze Świętej Katarzyny na Święty Krzyż spotkacie turystów z plecakami.

Zmęczeni po zdobyciu Łysicy, odpoczywają u podnóża lasu, w drewnianej „Chacie zbója Kaka” w Kakoninie, pałaszując wyborne pierogi świętokrzyskich gospodyń. Po posiłku zakładają plecaki, mijają drewnianą chałupę z XIX wieku i ruszają szlakiem na Łysą Górę.

Ale Wy zadumajcie się na chwilę i posłuchajcie, jak szumią drzewa, wspominając czasy, gdy stare Góry Świętokrzyskie porastała bezgraniczna gęsta puszcza, służąc za schronienie dobrym i złym... Którym z nich był ten, o którym Wam opowiem? Sami oceńcie, ale najpierw, posłuchajcie opowieści...

Tu, gdzie widzicie wiejskie zagrody w Kakoninie, rósł przed wiekami gęsty las, w którym krył się postrach całej okolicy i samozwańczy władca Gór Świętokrzyskich – zbój Kak. Wielki, postawny i mocarny zbój budził powszechny respekt. Nie było śmiałka, który odważyłby się zmierzyć z Kakiem.

Zbój potrafił wyrywać drzewa z korzeniami, rzucać ogromnymi głazami we wrogów, nie obawiał się nawet zgrai atakujących. Nie znajdował jednak upodobania w zabijaniu, a część zrabowanych bogatym pieniędzy oddawał biednym ludziom. Za to zyskał sobie szacunek wśród ubogiej świętokrzyskiej ludności, która nieraz przygarniała go do swoich domostw i chętnie dzieliła się z nim posiłkiem. Kak napadał na kupieckie karawany, a na rabunek zapuszczał się hen, daleko, podobno aż pod Małogoszcz, Chęciny czy Kije. I pewnie żyłby tak długo, gdyby nie jedno zdarzenie... Traktem z Kielc do Bodzentyna uczęszczały karawany. Kak wiedział, że na tej trasie

najprędzej obłowi się w bogactwo, dlatego zaczął się w gęstwinie na kupców. Nie mylił się i nie czekał długo. Na drodze wnet pojawiła się pięknie zdobiona karetą.

- Los mi sprzyja . Pewnie jedzie jakiś kościelny dostojnik z Kielc i wiezie kosztowności – pomyślał Kak.

Wyskoczył zza drzewa i spłoszył konie ciągnące karete. Stangreci pospadali z siedzisk i ze strachu przed ogromnym zbójem nie byli w stanie się nawet poruszyć. Kak jednym ruchem wyrwał z karety złocone drzwi, spodziewając się zobaczyć w środku przestraszonego dostojnika. Jak wielkie było jego zdziwienie, gdy ujrzał tam precudnej urody dziewczynę, patrzącą na niego wielkimi, pełnymi bojaźni oczami. Serce podskoczyło w wielkiej piersi zbója. On, postrach okolicy, uważany przez wrogów za człowieka zdolnego do najgorszych uczynków, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Wziął dziewczynę na ręce, jak największy skarb, i pognął na Łysicę.

Zastanawiacie się, jaki los czekał biedną dziewczynę w rękach zbója? Nie lękajcie się. Bóg miłości - podobnie jak Kaka - przeszył serce dziewczyny swoją strzałą. I ją dosięgła miłość od pierwszego wejrzenia. Nie chciała już wracać do poprzedniego życia, lecz z radością spędzać czas z kochankiem. Świętokrzyska puszcza stała się ich domem i schronieniem.

Sielanka nie trwała jednak długo, bo ukochana Kaka okazała siostrzenicą biskupa krakowskiego, który wysłał zbrojnych, by pojmali zbója i odbili z jego rąk dziewczynę. Ci znaleźli kryjówkę kochanków. Kak bronił się dzielnie, odpierał atak, ciskając głazami, lecz niestety, nie miał szans w starciu z łucznikami. Jedna ze strzał ugodziła zbója. Widząc to, dziewczyna wybiegła z kryjówki i własnym ciałem zakryła broczącego kwią kochanka. Niestety, i ją dosięgła strzałą.

Wielka była rozpacz i gniew Kaka, który nie bacząc na ból, zdołał w odwecie zabić

jeszcze kilku napastników. Ujęto go jednak i zawieziono do Krakowa. Los zbója był jednak przesądzony – na Kaka czekał stryczek. Kiedy po odczytaniu wyroku stał na szubienicy, jego ostatnim życzeniem było zaśpiewanie piosenki. „O lipko pod Kakoninem, kto cię znajdzie, zostanie panem” – tak brzmiały ostateczne słowa zbója.

Żaden z krakusów nie zwrócił uwagi na tekst piosenki. Był wtedy jednak w Krakowie przejazdem szklarz z Kakonina, który domyślił się, co kryje się za tymi słowami. Po powrocie do domu odnalazł w okolicy starą lipę. W dziupli drzewa świeciły przepiękne kosztowności! Napełnił nimi okazałą beczkę, ale... ruszyło go sumienie i poszedł do proboszcza po radę, co zrobić z tak wielkim skarbem. Proboszcz polecił mu, aby w Bielinach zbudował kościół, w którym będą odprawiane msze za dusze zbójców. Resztę pieniędzy kazał oddać ubogim.

Dziś w Bielinach, leżących nieopodal Kakonina, stoi na wzniesieniu kościół pod wezwaniem świętego Józefa Oblubieńca. Historycy mówią, że to biskup krakowski Jakub Zadzik nakazał wznieść w tym miejscu świątynię, ale miejscowi powtarzają często legendę o zbójcu Kaku, który to mimo woli, sfinansował budowę kościoła...

Źródło świętego Franciszka

Szum puszczy jodłowo-bukowej niesie spokój mieszkańcom Świętej Katarzyny – niewielkiej miejscowości usadowionej u stóp Łysicy – najwyższego szczytu Gór Świętokrzyskich. Łaskawa królowa przygarnia także zmęczonych letnim skwarem turystów, a cień drzew chroni ich przed palącymi promieniami słońca. Na początku drogi ma dla piechurów także wyjątkowy dar – krystalicznie czystą wodę ze źródła świętego Franciszka, wypływającego nieopodal drewnianej kapliczki pod wezwaniem tegoż świętego.

Skąd się wzięło u podnóża królowej Gór Świętokrzyskich? Mimo że droga na szczyt Łysicy długa, zatrzymam się i opowiem Wam legendę...

Dawno, dawno temu na Łysicy stał wielki zamek, jaśniejący wśród mrocznej, prawie granatowej puszczy. W środku panował królewski przepych, a w nim mieszkały dwie królewskiej urody siostry. Jedna kruczowłosa, szybka i krewka, druga – jasnolica o blond włosach, delikatna, zadumana, uwielbiającą samotne spacerować w starym lesie... Dwie siostry były tak tak różne, jak ogień i woda.

Pewnego dnia do zamku przybył młody rycerz. Zgubił się w lesie, więc potrzebował krótkiego odpoczynku i strawy. Zmęczony długą drogą, od razu ożywił się, gdy zobaczył dwie gospodynie zamku, piękne jak z obrazka. Urzeczony urodą dziewcząt, zamienił krótką gościnę na długi pobyt. Chłopak poddał się czarowi pięknych sióstr. Był tylko jeden problem – nie mógł się zdecydować, która z dziewcząt podoba mu się bardziej.

Obydwie siostry, mimo że tak różne, zagościły w jego sercu i umyśle. Co więcej, obydwie odwzajemniały jego uczucie i każda po swojemu zabiegała o jego względy.

Młodzieniec stanął przed trudnym wyborem. W końcu jego serce skłoniło się do starszej, bardziej zalotnej siostry. Kochankowie spędzali ze sobą dni i noce. Młoda siostra posmutniała, odsunęła się w cień i coraz częściej wychodziła na samotne przechadzki do lasu.

Mimo szczęścia przy boku ukochanego mężczyzny, kruczowłosa siostra odczuwała jednak niepokój i zazdrość o siostrę. W jej sercu zrodziło się złe pragnienie, by pozbyć się jasnowłosej raz na zawsze. O swoich planach opowiedziała rycerzowi, co więcej, nakłoniła kochankę do współudziału w zbrodni. Postanowiła, że do czary z miodem doleje trucizny i poda ten napój siostrze do picia, gdy ta wróci ze spaceru.

Jasnowłosa długo spacerowała po lesie. Delikatnymi krokami stąpała wśród wijących się drózek, strącając stopami kropelki rosy. Krople zaczęły parować, zmieniać się w chmury i powoli ulatywać do słońca. Niebo nad prastarą puszcza zasnuło się jasnymi kłębiastymi chmurami...

Nagle obłoki stały się prawie czarne, zwały się, a wiatr poniósł je w ślad za dziewczyną, która zbliżała się do zamku. W ułamku sekundy zerwała się straszliwa burza. Jodły gięły się pod podmuchem wiatru, a spokojna do tej pory prastara puszcza krzyczała, jakby chciała ostrzec dziewczynę. Gdy ta dobiegła do bram, błyskawica rozdarła niebo, wielki huk rozległ się w lesie, góra zadrżała i... wyniosłe zamczysko rozpadło się w gruzy.

Po zamku pozostały głazy na szczycie Łysicy. Dobra siostra na próżno szukała ciał kochanków. Płakała, a łzy spływały po kamieniach... Tych łez było tak wiele, że do dziś zasilają źródło u podnóża góry. Źródło nigdy nie zamarza, zimna woda gasi pragnienie, przyjemnie chłodzi i... podobno leczy choroby oczu.